

## Spotkania z dobrą muzyką

W dniach od 22 do 26 października odbyły się III Białostockie Spotkania Muzyczne, organizowana przez Państwową Filharmonię w Białymstoku. W tym roku cztery kolejne wieczory wypełniły różne gatunki muzyki: symfonia, recital chopinowski, muzyka oratoryjno - kantatowa oraz oryginalna synteza jazzu i klasycznej muzyki hinduskiej.

Pierwszy wieczór wywołał wspomnienia. Musiał wywołać, kiedy na estradę wyszedł Jan Kulaszewicz. Starzy melomani pamiętają dobrze pierwsze kroki białostockiej symfoniki, koncerty pólamatorskiego zespołu w salach TPPR (dziś Kino "Studio"), Teatru Dramatycznego, wreszcie "Związkowca". Kulaszewicz całą swoją pasję, wspartą młodzieńczą energią i wielkimi ambicjami artystycznymi — zaangażował w pionierskie dzieło budowy profesjonalnej instytucji muzycznej. Pomimo uciążliwych warunków, tułaczki, systematyczną pracą z zespołem orkiestrowym doprowadził ją do poziomu, uzasadniającego zmianę szyldu na ów najdumniejszy — filharmoniczny. Konkretnym artystycznym miernikiem jego czternastoletniej pracy z orkiestrą było tylekroć przeze mnie wspomniane wykonanie arcytrudnego dla każdego zespołu *Koncertu na orkiestrę* Witolda Lutosławskiego. Kulaszewicz zainicjował także Festiwale Muzyki i Poezji, których spadkobiercą stały się właśnie Białostockie Spotkania Muzyczne.

Program prowadzonego przez Kulaszewicza wieczoru inauguracyjnego skomponowany został monograficznie i zawierał dwa najszlachetniejsze dzieła Cesara Francka *Symfonię d-moll* i *Wariacje symfoniczne* z Jerzym Godziszewskim przy fortepianie.

Kulaszewicz potrafił tak zafrapować białostocką orkiestrę, iż grała ona zdumiewająco dobrze, nawet w sferze dźwięku, jego jakości, a co ważniejsze — realizowała owe istotne cechy muzyki Francka. Na wyróżnienie zasługuje ładnie zagrane solo rożka angielskiego w środkowej części *Symfonii*. Na wysoki poziom sztuki dyrygenckiej Jana Kulaszewicza, oprócz głębokiego zrozumienia interpretowanej muzyki i łatwości przekazywania tego rozumienia orkiestrze, składa się także umiejętność współdziałania z solistami, ugruntowana zapewne przez okres dyrektorowania i dyrygowania w Operze Poznańskiej. Jerzy Godziszewski znakomicie wykonał partię fortepianową *Wariacji symfonicznych* Francka. Wydaje się, iż pianista ten nie cieszy się taką sławą, na jaką zasługuje. Jest to bez wątpienia artysta wielkiego formatu, z równym powodzeniem grający repertuar klasyczny, romantyczny, co i muzykę naszego stulecia (kto tak gra w Polsce Debussy'ego i Szymanowskiego?). Sądzę, iż wartościową i konieczną pozycją tego sezonu lub najbliższego, powinien stać się recital tego artysty. A może i recital, i koncert symfoniczny!?

Recital Tatiany Szebanowej odbył się w okresie gorących dyskusji, toczonych w związku z wynikami ostatniego Konkursu Chopinowskiego. Dał więc okazję do konfrontacji niedomówień z rzeczywistością. Chopin Szebanowej okazał się bardzo porządny i solidny. Jednak nie porywał, jak można by oczekiwać od laureatki bądź co bądź drugiej nagrody. Temperatura tego nader obfitego recitalu ulegała dużym wahaniom i tylko momentami osiągała poziom wrzenia, kiedy muzyka Chopina staje się wstrząsającym przesłaniem, a nie tylko piękną, elegancką i doskonale skomponowaną sztuką. Jakie napięcie można osiągnąć nawet w tak lirycznym gatunku, jakim jest chopinowski nokturn, dowiódł zwycięzca ostatniego Konkursu, Wietnamczyk Dan Thai Son. Szebanowa natomiast grała ustępy liryczne bezpośrednio, naturalnie budując łuki melodyczne, ładnym dźwiękiem czasem tylko nadmiernie, nieco nienaturalnie, ścisząc zakończenia fraz, czemu niestety towarzyszyło przykre, nieoczekiwane zanikanie dźwięku. Może głównym winowajcą był sam fortepian z nie dość wyregulowaną mechaniką, który ponadto — jak to się często zdarza w naszej filharmonii — był nieco rozstrojony. Nade wszystko jednak nie dostawało owym kantylenom ciepła, tych minimalnych zawahań rytmicznych, które wespół z subtelnym cieniowaniem dynamicznym tworzą pajęczą siateczkę napięć tak żywo zniewalających słuchacza. Piękna melodyka chopinowska pod palcami Szebanowej była pełna elegancji, bliższej jednakże sztywnej etykiecie, która nie dopuszcza najdrobniejszej skazy, ale nie dopuszcza także zapamiętania się, prawdziwego, szczerzego odkrycia własnej duszy. W odróżnieniu od czujących świetnie substancję liryczną Rosjan, Szebanowa lepiej grała fragmenty dramatyczne (świetne części skrajne *Poloneza*, a zwłaszcza jego reprzyza oraz finał *Sonaty h-moll*), a także tak typowe dla Chopina fragmenty brillant, do których obok *Walców* zaliczyłbym również *Scherzo z Sonaty* i skrajne ustępy *Impromptu cis-moll*. Świetne było również *Impromptu Ges-dur*.

Powyższe uwagi nie powinny zacierać mego zasadniczego zdania, iż pianistyka Szebanowej jest sztuką wielkiego formatu. A spadek napięcia emocjonalnego, tak wyraźnie odbijający się na ekspresyjnych walorach interpretacji muzyki Chopina, tłumaczyć można wyczerpującym fizycznie i psychicznie ogromnym wysiłkiem związanym z konkursową walką. Dzień później odwołano przecież recital radzieckiej pianistki w Warszawie; z powodu choroby nie odbył się również zapowiadany w programie "Stereo i w kolorze" występ zwycięzcy Konkursu.



Na  
estrady  
Chór  
Kameralny  
„Ars Antiqua”.

Fot. Z.  
Lenkiewicz

Białostocka Filharmonia nieczęsto sięga po bogatą literaturę oratoryjno - kantatową. Toteż przedstawienie po raz pierwszy w Białymstoku dwóch polskich dzieł późnego baroku — *Completorium* Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego i *Magnificatu* Marcina Józefa Żebrowskiego stało się naprawdę akcentem świątecznym. Dobrze znany już w Polsce Chór Kameralny "Ars Antiqua", działający przy Warszawskiej Operze Kameralnej wraz z czwórką solistów — Ewą Ignatowicz (sopran), Jadwigą Rappé (alt), Andrzejem Jaworskim (tenor) i Jerzym Mahlerem (baryton),

zaprezentował wysoki poziom wykonawczy. Warto tu wspomnieć, iż Jadwiga Rappé zwyciężyła w tym roku w Konkursie Bachowskim w Lipsku. Pięknie grały trudne partie *clarino* trąbki (nie nasze), natomiast nasze oboje i rogi wprowadziły w eufonicznie rozwijający się *Magnificat* dysharmonię, obniżając ogólny poziom artystyczny koncertu. Dyrygent warszawskiego Chóru, a zarazem i całości zespołu wykonawczego — Maciej Jaśkiewicz — miał zapewne zbyt mało prób z białostockimi współwykonawcami, albo ci ostatni nie potraktowali dość serio z pozoru prostych partii — tych ważnych i pięknych dzieł polskiego baroku.

Ogromne poznawcze walory miał również ostatni koncert Spotkań, wypełniony oryginalną muzyką, syntetyzującą elementy narodowej muzyki hinduskiej z jazzem. *Yatra Sextet* wprowadził do filharmonicznej sali zupełnie inny, egzotyczny klimat i inną publiczność. Nie wiem, czy koncert hinduskiego zespołu w pełni usatysfakcjonował jazzmanów, sądząc po reakcji — chyba tak. Dla znających tylko trochę jazz i trochę muzyką hinduską, występ sześciu instrumentalistów i wokalistki (dlaczego więc sekstet?) stał się interesującą przygodą artystyczną. Podziwialiśmy fascynujące opanowanie warsztatu przez wszystkich muzyków, wśród których niespotykane efekty zgoła instrumentalnej natury osiągała Rama Mani. „*Yatra Sextet*” zaprezentował różne formy połączenia jazzu i elementów rodzimej muzyki — od bliskiej oryginału z wiodącą partią wokalną, na której spoczywa cały ciężar permutacji modelu melodycznego (*ragi*), poprzez zachowanie ogólnych zasad rozwoju muzyki z charakterystycznym narastaniem ruchu, aż po najbardziej odległe stylizacje zachowujące jedynie pewien klimat tonalny i brzmieniowy determinowany użyciem hinduskiego instrumentarium perkusyjnego. Frapująca była ponadto umiejętność wydobywania z instrumentów jak najbardziej europejskich brzmień typowych dla instrumentów rodzimych. Louis Banks potrafił wygrywać na fortepianie długie burdony charakterystyczne dla *tambury*, a *Bras Consalves* przekształcał chwilami saksofon sopranowy w *szennai*, a tenorowy w *nagasvaram*. W sumie — dwie godziny fascynującej muzyki, również do oglądania — i wyniesione przeświadczenie o wielu punktach stykowych jazzu i muzyki hinduskiej.

Białostockie Spotkania Muzyczne są festiwalem bez formuły, gdyż trudno nazwać myślą przewodnią zblokowanie czterech różnych gatunkowo programów w ciągu czterech kolejnych wieczorów. Każdy z tych koncertów mógł przecież odbyć się bez festiwalowego hasła. Takie koncerty zresztą odbywają się w codziennej, powszedniej działalności naszej Filharmonii i chwała jej za to. Można zatem uznać Spotkania za wizytówkę możliwości impresaryjnych, realizatorskich i artystycznych Białostockiej Filharmonii. Wypada tylko oczekiwać pełniejszego wykorzystywania tych możliwości w okresie całego sezonu, a wtedy o Filharmonii będzie się mówiło tak, jak się rozprawia o recitalu Szebanowej i koncercie muzyków hinduskich.

STANISŁAW OŁĘDZKI